Nr. 11. Lwów, dnia 10. Kwietnia 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** zlr., półrocznie **3** zlr. kwartalnie **1** zł. **50** ct., miesięcz. **50** ct. Skład w księgarni Polskiej Lwów. | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya „*Wieczorów zimowych*“ **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„*Wieczory zimowe*“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie**: każdego 1 go. 10-go i 20-go.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy.)

Rybak siedział przy stole i na dłoni wsparty, chmurnem okiem patrzył na podwórze. Widział że Silber zajechał i że szedł do niego, ale mimo to nie ruszył się z miejsca. Nieprzyjemności z Jaśkiem w ostatnich dniach takie już w jego domu rozmiary przybrały, że biedny Wojciech był bliskim rozpaczy. Nic go nie cieszyło, nic nie zajmowało, prawie każdy człowiek, którego spotykał, był mu wstrętny. Tak samo niemile wrażenie zrobił na nim Silber, chociaż znał go dobrze i utrzymywał z nim stosunki blisko od ćwierć wieku.

Gdy żyd wszedł do izby, nie podniósł się od stołu, jeno sucho go pozdrowił:

— Jak się pan Silber ma?

— Zwyczajnie jak groch przy drodze, kto nie chce, poskubie — żyd odpowiedział. — Ale co robić, człowiek musi mieć zawsze kłopoty, bo tak go już Bóg stworzył. A pan Żołędziak zdrów? — dodał. obok niego na stołku siadając.

Rybak machnął tylko ręką, lecz nic nie odpowiedział. Silber dostrzegłszy chmurę na jego czole, zaczął go ciekawie wypytywać, co by mu było, przyczem używał nagłych zagadywań i zwrotów, jak sędzia śledczy, gdy obwinionego chce koniecznie na słowo wyciągnąć. Wszakże przekonawszy się po niejakim czasie, że to na nic, przystąpił do innego interesu, który go tu sprowadził.

— Pan Żołędziak spodziewa się dużo tego roku? — zapytał.

— Nie wiele.

— Czemu nie wiele? Przecie pan Żołędziak wszystko obsiadł.

— Ta wszystko, ale na dwudziestu morgach co się tam może urodzić.

— Ojoj! na dwudziestu morgach może być bardzo dużo. A tego roku, dzięki Bogu mamy piękny urodzaj. Już u nas dawno takiego nie było. A u pana Żołędziaka ładne zboże?

— Ot, jakieś tam... Ozimina nie zła, jarzyna lepsza.

— A perki (ziemniaki) są?

— Zasadziłem trzy morgi.

— No, to wcale nie źle.

— Nie było by źle, gdyby człek wszystko, co zbierze, mógł sprzedać i pieniądze do kieszeni schować. Ale pan Silber wie, że u mnie jeden grosz nie doczeka się drugiego, bo mam wydatki.

Żyd oczy zmrużył, głowę przekrzywił i w rybaka wpatrując się z uśmiechem, tak przemówił:

— Na co takie żarty, panie Żołędziak, kiedy ja wiem, że tam — tu rękę ku skrzyni wyciągnął — więcej bitych, niż u samego dziedzica.

— U dziedzica, powiadacie? — rybak powtórzył. Chciał jeszcze coś dodać, ale wstrzymał się, tylko na gościa spojrzał i czoło zmarszczył.

— Ja wiem, że pan Żołędziak pieniędzy nie potrzebuje — żyd dalej mówił — ale zawsze nie

zaszkodzi, jeżeli w czas sprzeda się zboże i perki. Teraz cena doskonała, a kto wie jaka potem będzie. Powiadają, że pod jesień potanieje, bo tego roku wszędzie wielki urodzaj.

— Ja nie sprzedaję, dopóki nie zbiorę — rybak odparł sucho.

— A pan Żołędziak może myśli, że Silber już teraz chce kupować? Boże chroń! Ja tylko delikatnie przypominam, abyście potem komu innemu nie sprzedali, bo Silber da najlepszą cenę, przecie on wasz stary przyjaciel.

— Dobrze panie Silber, dobrze.. Jak się zbierze, to się zobaczy.

Żyd czas jakiś rozmawiał o rzeczach, nie mających z handlem na pozór nic wspólnego. Wypytywał o księdza, o jego zdrowie i powodzenie, dotknął ogólnikowo stosunków domowych p. Milińskiego, chwalił wielki rozum barona z Komarowa, mimochodem wspomniał także o Ujściu i jego mieszkańcach, w końcu zszedłszy na Jaśka, z nienacka zapytał:

— A co on teraz będzie robił?

Wojciech spuścił na stół pięść zaciśniętą.

— Chce iść do Berlina, psia wiara! — głucho odpowiedział.

— Czemu nie ma iść, panie Żołędziak, czemu? Przecie tam już nie jeden szczęście znalazł.

— A wszak i tu na coś by się przydał. Jam już stary, ryby łapać na jeziorze wielkiem i głębokiem, nie tak znowu łatwo, jak się komu zdaje, a zastąpić mnie nie ma kto, bo Jędruś i Michałek, jeszcze dzieci.

Pewnie, że to kłopot.. Ale wiecie co, panie Żołędziak. ja się bardzo dziwię, że wam się chce tak biedować. Kiedy syn nie bierze się do rybołostwa, to bym na wszystko plunął i co innego robił.

— Co innego? Ciekawym na co bym miał szukać innej roboty, skoro i mój dziad i mój ojciec i ja wszyscyśmy ryby łapali. Niech każdy w tem umiera, do czego przywykł.

— Żeby tylko umarł spokojnie! — żyd podchwycił. — A jak się utopi, co wtedy?

— Jak się utopi, to także umrze. Zresztą nie wiem, dla czego człowiek miałby się koniecznie topić. Tyle już razy byłem podczas burzy na jeziorze, a przecie nie stało mi się nigdy nic złego.

— Bo do czasu dzban wodę nosi, panie Żołędziak. Dotąd wam nic się nie stało, ale czy zawsze tak będzie? A nie uważali wy, że teraz coraz gorsze wiatry?... Bóg wie zkąd to się bierze... Tamtego tygodnia, jakem jechał do Ujścia, to na jeziorze była fala pod samo niebo. Strach, jak to niebezpiecznie.

— Kto w Boga wierzy i w Pannę Przenajświętszą, ten nie boi się ani niebezpieczeństwa, ani śmierci.

— No, no, niech i tak będzie — żyd niechętnie odpowiedział i zaraz zapytał: — A na długo wy wzięli jezioro?

— Na lat dwadzieścia cztery.

— Na dwadzieścia cztery? Ale wy tu już oddawna siedzicie?

— Przed trzema laty skończyły się pierwsze dwadzieścia cztery, teraz idą drugie.

— Więc macie jeszcze siedzieć dwadzieścia i jeden lat?

— A tak coś, jeźli Pan Bóg dopomoże

— Ojoj! strach ile to jeszcze czasu! Ale że wam na tak długo panowie wypuszczają. Gdzie kto u nas słyszał o takich dzierżawach.

— Widać, panie Silber, że mają zaufanie do Wojciecha Żołędziaka.

— Pewnie... pewnie.. czemu by nie mieli ufać, kiedy na całym świecie nie ma od pana Żołędziaka porządniejszego gospodarza. Ja to zawsze mówię, bo ja wasz wielki przyjaciel. Ale właśnie dla tego, że wam Silber dobrze życzy, to chciałbym wam tak poradzić, żebyście jeszcze lepsze robili interesa. Skoro wasz syn nie chce być rybakiem, to i wy sami powinnibyście temu dać pokój. Gdzie wy sobie dacie radę!

— Muszę. Mam chłopaka, któregom do bydła przyjął, spory z niego wyrostek, ten mi zatem musi dopomagać

A jak chłopaka do wojska wezmą, to będziecie innego szukali i znowu go uczyli? Panie Żołędziak, na co tyle kłopotów! Zresztą, kto wam zaręczy, że będziecie jeszcze żyli całych dwadzieścia jeden lat? Niech wam pan Bóg da zdrowie i jeszcze więcej lat, choćby nawet sto, ja wam pewnie życzę jak przyjaciel, ale nuż tyle nie będzie? A jakby pan Żołędziak broń Boże prędzej umarł, to coby się stało? Ktoby was wtedy zastąpił?

Rybak brwi zmarszczył.

— Pewnie, że byłoby źle.. moja kobieta nie dałaby sobie rady.

— A prawda? Dla tego mnie się zdaje, że pan Żołędziak, jako człowiek rozumny i dobry ojciec, powinien tak zrobić. żeby wszyscy byli kontenci. A co, Silber dobrze radzi?

— Rady jeszcze nie słyszę, tylko gadanie — rybak odrzekł.

— Pomalutku, zaraz i to będzie... Czego pan Żołędziak dorobi się na tych piaskach i ile mu jezioro przyniesie? Wprawdzie ludzie mówią, że u pana Żołędziaka są w skrzyni bite, lecz mnie się teraz zdaje, że nie musi ich tam być dużo, skoro Janek chce aż do Berlina iść szczęścia szukać. Przecie gdyby ojciec miał wielki majątek, to syn wolałby przy nim siedzieć, niż włóczyć się po świecie. A co, zgadł Silber?

Rybak w jeden punkt patrzył i milczał.

— Jeżeli więc nie ma dużo majątku — żyd mówił dalej a coraz prędzej — to czemu pan Żołędziak tak nie robi, żeby go było więcej? Ziemia w Trzcińcu zła, ale droga; za morgę razem z budynkami, można tu dostać stopięćdziesiąt bitych, nawet więcej; dzierżawca na jezioro, chociaż to rzecz niebezpieczna, może by się także znalazł i dalby jeszcze co odstępnego, a jakby pan Żołędziak zebrał za wszystko cztery tysiące talarów, to co by za to można gdzie indziej kupić?

— Ciekawym gdzie? Przecie ziemia wszędzie dziś droga.

— Oj! nie wszędzie, panie Żołędziak U nas trudno jej się dokupić, choć tu same piaski, ale pan Bóg stworzył taki kraj, że w nim za dwa bite można dostać morgę sto razy lepszej ziemi niż nasza. A za cztery tysiące ile by jej pan Żołędziak kupił? Czy nie miał by wtedy więcej niż sam dziedzic w Trzcińcu? A co, Silber dobrze radzi?

Rybak spojrzał na mówiącego bez ciekawości.

— I gdzież jest ten kraj? — zapytał.

— A Ameryka to nic?

— Ameryka? — Wojciech tak jakoś dziwnie powtórzył, że żyd, aby go do słowa nie dopuścić, uznał za konieczne prędko zagadać.

— Niech się pan Żołędziak nie boi, przecie Ameryka nie leży na końcu świata. Ilu tam poszło biedaków, a dziś jakimi są panami! Gdybyśmy obadwa mieli tylko pięć procent od tych majątków, które nasi tam porobili, tobyśmy nigdy więcej nie potrzebowali. Tam człowiek jeno rękę wyciągnie, a pieniądze same się sypią Pan Żołędziak pamięta Bartka Chrząszcza z Komarowa?

— Tego, co przed dwoma laty poszedł do Ameryki?

— Tego, tego.. On wtedy sam poszedł, bo nic nie miał, żona z dziećmi została w Komarowie na łasce ludzi, a zeszłego miesiąca on jej przysłał tyle pieniędzy, że teraz z wszystkiemi dziećmi zabrała się do niego. A Maciek Kogut z Ujścia gorzej wyszedł? Ludzie tamtejsi powiadają, bo niedawno do nich pisał, że on ma już w Ameryce cały folwark. Tam kto nie chce, robi majątek, bo tam pieniądze same w rękę lecą

Rybak głową pokręcił.

— Ej! panie Silber, nie namawiaj!

— Ktoby was namawiał, panie Wojciechu? Czy wy nie macie lepszego rozumu, niż ja sam? Ojoj! przecie cały świat wie, że pan Żołędziak to taka głowa, że równej nie znalazłby ani w Poznaniu, ani we Wrocławiu. Po drugą taką trzebaby jechać chyba do Berlina. Pana Żołędziaka nikt tedy nie namówi i ja się nawet o to nie kuszę. Ale że Silber jest waszym wielkim przyjacielem, więc chciałby wam jak najlepiej poradzić. W Ameryce i o majątek łatwo, i polaków jest tam dosyć, nawet więcej niż tu, bo tam nie ma tych niemców paskudnych, których ja tak samo nie lubię jak pan Żołędziak... A może myślicie że w Ameryce nie ma kościołów? Ojoj! tam w każdej wsi jest dwa razy większy kościół niż wasz i takie w nich wiszą dzwony, że najmniejszy słychać na pięć mil w koło. A jacy tam księża, panie Wojciechu! Tam każdy ksiądz święty! Gdyby nie to, że moje wszystkie dzieci są tu pożenione i powydawane, to zaraz jutro wybrałbym się do Ameryki. Tak, tak, panie Wojciechu, tu nie ma co robić... Tam łatwiej o majątek dla dzieci.

Silber zakończył rozmyślnie wzmianką o dzieciach, ponieważ znając Żołędziaka, wiedział, że była to najsłabsza jego strona. Rybak spojrzał mu w oczy i głową znowu pokręcił, ale nic nie odpowiedział. Żyd w nadziei, że słowa jego padły na ziemię urodzajną, na której mogą się łatwo przyjąć, zaczął coraz szybciej kuć żelazo. Przedstawiwszy tedy raz jeszcze obraz szczęśliwości doczesnej, którą każdy człowiek w Ameryce osiąga, zapewniał następnie rybaka, że jako szczery jego przyjaciel dołoży starań by tu mógł zebrać za wszystko więcej niż cztery tysiące talarów, w końcu zaś przeszedłszy na Jaśka, w te słowa przemówił:

— Ja wiem, że pana Żołędziaka najbardziej jego syn martwi, bo wy sprawiedliwy polak i katolik, a on co? Ani pies, ani baran Lecz niech tylko pan Żołędziak delikatnie pomyśli, czy to się da zmienić? Gdybyście mieli więcej pieniędzy, to Jasiek pewnie by w Trzcińcu siedział, ale skoro nie ma takiego majątku, to trzeba go będzie puścić... A co ludzie na to powiedzą, że syn pana Żołędziaka poszedł do Berlina? Ojoj! ja już słyszę, jak oni się za to z ojca śmieją.

— Powiadacie, panie Silber, że ludzie będą się śmiali?

— Pewnie, że będą.

Rybak szybko powstał, pięść zaciśniętą na stół położył i w żyda się wpatrując, dolną wargę zębami przygryzał. Twarz jego była blada, w oczach malowało się silne postanowienie Już chciał przemówić, lecz nagle, jakby go coś tknęło, spojrzał po ścianach swego domostwa i na obrazach, co w górze wisiały, dłużej wzrok zatrzymał. Teraz westchnął, ruchem energicznym odwrócił się od gościa i rękę ku niemu wyciągając, zawołał:

— A nie kuś-że mnie czarcie, bo gotowo być nieszczęście!

— Co pan Żołędziak mówi? Przecie ja wam radzę jak przyjaciel.

Rybak zwrócił się ku niemu zachmurzony, groźny!

— E! panie Silber, nie wodź mnie na pokuszenie, powtarzam, bo będzie źle!

Żyd skręcił się i w lot pochwycił:

— No, niech się pan Żołędziak nie gniewa, przecie nie ma za co. Kiedy pan Żołędziak mówi nie, to i ja się nie upieram.. Wprawdzie chciałem wam pokazać różne papiery, z których łatwo byście się przekonali, że wszystko, com powiedział, jest prawdą, ale skoro myślicie, że Silber nie radzi wam jak przyjaciel, to lepiej mówmy o czem innem.

Ze zwinnością piskorza, wyślizgującego się z najsilniejszej nawet dłoni, żyd przerzucił się na nowy przedmiot, którym były ryby. Najpierw pytał, ile mniej więcej, łowi ich Żołędziak na tydzień, potem który gatunek pojawia się w przeważnej ilości, w końcu pragnął dowiedzieć się, czy rybak nie byłby skłonnym zawrzeć z nim ugody ryczałtowej co do sprzedaży wszystkich ryb, jakie przez rok złapie. Gdy stary Wojciech na zapytania dał mu odpowiedzi wymijające, a propozycję nawet wprost odrzucił, twierdząc, że on tego nigdy nie sprzedaje, czego w garści nie ma, wtedy Silber pokręcił się chwilę po izbie, wspomniał coś jeszcze o życie i perkach, nareszcie zapewniając ciągle o swojej przyjaźni, pożegnał się i odjechał.

Gdy na drodze dał się słyszeć turkot wózka, rybak przeżegnał się i ręce złożył, jakby do modlitwy.

— Dziękuję ci, Panie Jezu! — szepnął — że mnie ten zły duch do złego nie namówił. A jak on to umie zachodzić, jak kusić! Aż mi w oczach pociemniało.. Boże! Boże! i dziwić się tu innym, że ich namawiają... Trzeba pójść do jegomości i przyznać się do grzechu, żem omało nie dał się skusić, to mi zaraz lżej będzie na sumieniu.

Raz jeszcze się przeżegnał, wziął czapkę i z domu wyszedł.

Silber tymczasem jechał przez wieś wolno, puszczając wzrok badawczy to na prawo, to na lewo. Wyraz jego twarzy był spokojny i obojętny. Gdy się do gospody zbliżał, ujrzał jak Jasiek ztamtąd wychodził, z policzkami rumianemi i w czapce z fantazją na ucho nasuniętej. Żyd stanął i przywitał się z nim jak z dobrym znajomym. Jasiek chociaż język nie bardzo mu statkował, zaczął z nim rozmawiać łamaną niemieccczyzną Pogadanka nie trwała jednak długo, Silber bowiem spojrzawszy na zegarek, podał prędko rękę Jaśkowi i rzekł na pożegnanie:

— Bądźcie zdrowi panie huzar, a jak byście kiedy czego potrzebowali, to pamiętajcie że Silber mieszka na Hospitalstrasse i dla was zawsze jest w domu.

To powiedziawszy zaciął konia i kłusem wyciągniętym do dworu pojechał.

(Ciąg dalszy nastąpi)

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Jest to cechą dusz pięknych i miłosiernych, jak też i wyższych umysłów, że starają się wszystko wyrozumieć, nawet to, co im przykrość sprawia. Zrozumieć znaczy zaś tyle, co przebaczyć. Zrazu oburzona na panią de Moisieux, panna Maulabret, która miała duszę piękną i dobrą, skończyła na ubolewaniu i rzeczywiście margrabina była godną pożałowania.

Tego dnia kiedy pedagog doświadczony i biegły w swoim zawodzie, którego wybrała na mentora synowi, starał się chłopcu wytłómaczyć, iż trzy kąty tryangułu, równają się dwom kątom prostym, chłopak rzewnie się rozpłakał mówiąc: — Panie, mama uważa cię za człowieka uczciwego, daj mi więc słowo honoru, że te tu trzy kąty, są równe tamtym dwom; tylko na miłość Boga niczego mi nie tłómacz. — Margrabina zresztą, byłaby synalkowi przebaczyła, iż nie mógł ugryźć algebry i geometrji i to nawet że przypisywał Karlomanowi, dowcipy Henryka IV. Byłaby się pocieszyła z łatwością, iż ma syna głupiego, gdyby ten głupiec przynajmniej, nie był zjadał takiej masy pieniędzy. Za życia męża, jemu zostawiała wyłączne staranie, dostarczać funduszów, na zaspokojenie kosztownych fantazyj istoty niemożliwej, która była jej męczarnią, jej koroną cierniową, jej krzyżem. Od lat kilku syn spadł jej na kark i odczuwała boleśnie ciężkość tego brzemienia. Po ojcu, gdy wyprocesowała sumę posagową z wysokiemi procentami i takową najprzód zagarnęła na własność, odziedziczył około stu tysięcy franków, które połknął w mgnieniu oka.. nie żeby miał pańskie gusta i nawyczki wiele kosztujące: rumu butelka i pierwsza lepsza, wystarczały mu do szczęścia najzupełniej... zjadał jednak pieniądze przez najgłupszą w świecie próżność: lubił udawać pawia i bawić się w sułtana. Kobiecie, która żądała dwa luidory, rzucał pięćdziesiąt; możność olśnienia hetery hojnością rozkosznie go po sercu łaskotała. Margrabina spodziewała się najsłuszniej, iż nie zbędzie się brzemienia i nie odzyska spokoju, póki synalka nie ożeni. Nadaremnie jednak wysilała swoją znajomość stosunków, swój spryt, swoje krętactwo; uznała wreszcie swoją niemoc. Wymyśliła zatem, wysłać go do Stanów Zjednoczonych; ktoś jej zaręczał, że obywatelki wolnej Ameryki, są niesłychanie łakome na margrabiów. Gaston tedy produkował swoje wdzięki, od New Jorku do San-Francisko, od Chicago do Nowego-Orleanu; nie miał jednak szczęścia napotkać bodaj jednej dziedziczki, któraby byłaby się na niego złakomiła. Aby rozweselić swoją samotność i zmniejszyć nudy, oddawał się coraz częściej butelczynie; ta bowiem nie wybredna, genjusz czy idjota, pocieszy każdego.

W pół roku, uporał się do czysta ze swojem dziedzictwem, margrabina posłała mu trochę pieniędzy, zapowiadając, iż to ostatnia posyłka tego rodzaju, żeby odtąd nie liczył na nią, sama bowiem nic nie posiada. Może i nie była tak ubogą, za jaką chciała uchodzić, ale to była jej tajemnica. Nagle, na jej chmurnym widnokręgu, pokazał

się szmat nieba jasnego. Traf zrządził, że dziwnym zbiegiem wypadków, pan Cantarel miał pupilkę, a ta pupilka była bogatą dziedziczką; margrabina zanuciła w duchu hymn radośny Symeona Pan Cantarel już jej był oddał przysługi tak ważne. iż nie uważała za zbyt wielką ofiarę, skazując się z wdzięczności na granie z nim co wieczór bezika. Mogła wymagać wszystkiego od tego starucha, który rozkochany po same uszy, pałał żądzą ukoronowania wszelkich splendorów, romansikiem z prawdziwą margrabiną. Uplanowała zatem, iż tak samo jak ją uwolnił od natrętnych wierzycieli, zdejmie jej i syna z karku, że przez jego uprzejme pośrednictwo, Gaston poślubi miljonik i będzie mianowany drugim sekretarzem w ambasadzie poczem wyprawią go tak gdzieś na koniec świata, żeby o nim nic więcej nie słyszała. — Będzie to końcem moich obrachunków z przeszłością — mówiła sobie w duchu. Obrachowawszy się zaś i zamknąwszy księgę owej przeszłości, ta kobieta zwątpiała i wyleczona z ułud wszelkich, obiecywała sobie zacząć coś innego. Na świadków powoływała owe siedm konterfektów męża nieboszczyka.

Sama ze sobą radę złożywszy, panna Maulabret uznała za stosowne i zgodne z jej przezornością i godnością, udawać zupełną niedomyślność i nieświadomość zamiarów i planów, tyczacych się jej osoby; zajączek spostrzegł błyszczącą w słońcu lufkę fuzji strzelca; teraz wypada mu zrobić minkę, jakby nigdy niczego nie widział. Co dzień jak i dawniej, odwidzała domek w ogródku, w którym pani de Moisieux nie wiedziała gdzie posadzić „swoją najcudowniejszą“ — jak ją zawsze nazywała, udając ze swojej strony w rozmowie z nią niesłychaną szczerość co do kłopotów i niepewności z powodu synalka. Narzekała, iż taki niezgrabiasz, tak nieśmiały, że nie ma ułożenia, grunt atoli doskonały, serce szlachetne, wzniosłe, złote Cytowała o nim dowody czułości, mogące do łez rozrzewnić; był gotów oddać ubogiemu ostatnią koszulę, według niej w szpitalach nowojorskich; sypał tak złoto pełnemi garściami. Pragnęła by go ożenić — na tem zwykle kończyła — będąc najmocniej przekonaną, iż kobieta dystyngowana, która by umiała wziąć nad nim przewagę, zrobiła by z niego dżentelmena w całem słowa tego znaczeniu Na nieszczęście, nie zdawał się skłaniać ku temu, odrzucił już kilka partyj bardzo świetnych, które mu z boku proponowano, chciał gwałtem ożenić się z miłości, a miłość jakoś się nie zjawiała — Ten chłopak nieznośny — mówiła raz — przyprowadza mię do rozpaczy swoim uporem; bądź co badź muszę go zwalczyć. Wiem, iż kobieta, którą poślubi, będzie najszczęśliwszą Mój syn nie jest wprawdzie genjuszem — dodawala z figlarnym uśmieszkiem — ale wierz moja piękna memu doświadczeniu, iż głupcy bywają najlepszymi mężami.

Panna Maulabret miała z częsta nieprzyjemność, spotykania się z Gastonem u jego matki; scena jednak, którą mu matka wyprawiła była, po owym pierwszym obiedzie, wydała przecież pożądane owoce. Uważał na siebie i trzymał się na wodzy ile możności. Zresztą, nie zadawał sobie wcale pracy, nadskakiwania i starania się o Jettę. Aby wyrazić się jego kwiecistemi zwrotami: „Jakby ją kto smołą do niego przylepił; i ma ją tak dobrze, jak w kieszeni“ — czemu był rad niezmiernie: — „bo mimo, iż stroi minki niewiniątka, ma pieprzyk i jest kąskiem królewskim!“ — Najwięcej jednak szło mu o jej sumę posagową; naprzód sobie układał, jakim sosem ją podleje, aby zjeść smaczniej. Pod tym względem nie brakło mu bujnej fantazji. Rozporządził zatem w ten sposób majątkiem przyszłej żony, iż aby szczęście jego było zupełnem, musi posiadać dwie sfory psów. Charty angielskie będą maści popielatej, jak muszki; wyżły zaś białe, z płatami czarnemi lub bronzowemi. Widział już niemal przed sobą tak charty jak i wyżły. wabił je po imieniu, rozmawiał z niemi, świstał na nie, a gdy charty nie dość szybko goniły, wyżły zaś nie dość spokojnie do ptaków stawały, ten człowiek z sercem złotem, okładał je w myśli harapem bez miłosierdzia.

Co go na śmierć zanudzało i co mu się wydawało głupstwem skończonem, to owe kroki przedwstępne i przymus po parę godzin dziennie, w którym to czasie zachowywał się prawie przyzwoicie — Byłby też rad z duszy, przyspieszyć ostateczne rozwiązanie tej całej historji Gdy tak spędził mozolnie część popołudnia, na studjowaniu każdego słowa i każdego ruchu czuł się tak znużony, taki miał ból w krzyżach, jakby wykonał co najmniej jedną z dziesięciu prac Herkulesa i wymykając się zręcznie dążył cichaczem do kawiarni „Pod Białym Koniem“, gdzie się zbierali wszyscy brykarze okoliczni To było jego ulubione towarzystwo. Z nimi mógł nogi i na stół wyciągnąć, podeprzeć się oboma łokciami, nadymać się, rozmachiwać jak paw gdy ogon wspaniały roztoczy. Sypali mu w nos „jasnym panem margrabią“ ile się wlazło, zachwycali się jego dowcipami i mięszali swoje głosy z jego śmiechem bezwstydnym. Płacił im wódkę, częstował swoiemi *purosami*, pokazywał jak się gra w bilard i wprawiał w osłupienie śmiałemi karambolami. Czasem znowu, gdy otoczyło go kółko ciekawych, którzy czy na prawdę, czy tylko udając, rozdziawiali gęby i oczy na niego wytrzeszczali, opowiadał im szeroko i długo o swoich talentach gastronomicznych, o licznych podbojach serc niewieścich, o Ameryce i Amerykanach; lub też zwierzał im się pod sekretem z małżeństwem, które myśli zawrzeć wkrótce; plótł im rzeczy niestworzone, o zamku, który sobie wybuduje, o swoich stajniach, sforach, łowach, kniejach, a wśród tych marzeń rozkosznych, galopowały pyszne konie, na wyścigi z hartami rączemi i wyżłami o długich uszach i sierści kosmatej. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, iż nigdy przynajmniej nie wypaplał z kim się ma żenić. — W chwili, gdy nazwisko Jetty miało mu z ust wyskoczyć, przychodziło opamiętanie i połykał je nazad Rzeczą najważniejszą było wymknąć się z szynku niepostrzeżenie. Otwierał drzwi ostrożnie i oglądał się w koło z trwogą śmiertelną. Gdy widział, że mu na ulicy nie grozi żadne niebezpieczeństwo, pędził co tchu w pole, bodaj na godzinę, aby się trochę przewietrzyć. Mimo tej przezorności, gdy wracał do domu, matka nosem kręciła, mówiąc surowo:

— Skąd-że znowu wracasz? Pfe! śmierdzisz wódką.

— At! coś się mamie przyśniło — szorstko odpowiadał.

Czekając na kolację, wyciągał się na sofie, wkrótce atoli powieki ciężko spadały i zasypiał snem sprawiedliwego Margrabina wlepiała w niego wzrok pełen tłumionej wściekłości i powtarzała po raz setny:

— Panie Jezu Chryste! kiedyż ja go się pozbędę?

Nie traciła nadziei; liczyła, iż to się stanie niebawem. Wychodziła z tego podwójnego założenia, że dla młodej dziewczynki, która dotąd zna tylko klasztor i szpital, pierwsze oświadczenie konkurenta, stanowi epokę; powtóre, iż skromna mieszczaneczka, nie oprze się tak łatwo poku-

się zostania margrabiną. Badała twarz Jetty, ale ta jej nic nie mówiła. Częstokroć szczytem dyplomacji jest, gdy takowej wcale się nie posiada.

Po trzech tygodniach pani de Moisieux osądziła, iż pierwsze wrażenie zostało szczęśliwie zażegnane i że biorąc w rachubę z jednej strony przyzwyczajenie, z drugiej matki wymowę, panna Maulabret pogodziła się z facjatą obrzękłą i zielonkowatą, młodzieńca pełnego nadziei i z sercem złotem. Postanowiła zatem przystąpić śmiało do ostatecznego rozwiązania.

W parku pana Cantarel, było mnóstwo królików, na które ten pozwolił polować młodemu margrabiemu. Gaston strzelał czasem, ale trafiał nader rzadko jaką sztukę. Raz w porozumieniu z matką swoją, zaproponował Jecie, żeby się przypatrzyła polowaniu. Przystała z niechęcią widoczną, znaglona prośbami margrabiny. Cała jej sympatja była bowiem po stronie królików. Dwie sztuki wyszły na strzał; Gaston je chybił jak zwykle. Przypisał to strzelbie ma się rozumieć i naraz strzeliło mu do głowy, że polowanie z łasicą, zainteresowało by o wiele więcej pannę Maulabret. Pan Cantarel miał właśnie jedną, zupełnie oswojoną; posłano po nią Larę i nie czekając jego powrotu puszczono się w tę stronę parku, gdzie było najwięcej nor królików. Ścieżka była nader wąska. Jetta poszła przodem, za nią Gaston, margrabina pochód zamykała idąc coraz wolniej. Wkrótce, głowę odwróciwszy, Jetta już jej wcale dojrzeć nie mogła. Chciała wracać natychmiast; Gaston zatrzymał ją mówiąc z miną tajemniczą:

— Moja matka wie zawsze, dla czego co robi.

Jettę trwoga opanowywała, ale nie chciała z tem się zdradzić. Szła więc dalej.

— Jesteśmy na miejscu — przemówił, stając pod drzewem na małej łączce, otoczonej rodzajem wału porośniętego murawą, na której zwierzątka płochliwe a mnożące się bajecznie szybko, porobiły dziur mnóstwo.

I on jednak był cokolwiek pomięszany. Oparty o pień dębu, pytał się w duchu, od czego ma zacząć i machinalnie zagłębił rękę w torbę myśliwską, jakby tam spodziewał się znaleźć coś dowcipnego, aby przystąpić do rzeczy. Bąknął wreszcie:

— Lubię lasy... a pani? W lesie zawsze mam pełno myśli w głowie.

Wytrzeszczył na nią swoje okrągłe oczy wołowate; w nich miała być owa myśl genialna. Jetta nie omieszkała zwrócić czemprędzej rozmowę na inne tory.

— Nigdy nie widziałam łasicy — rzekła. — Jak też wygląda?

— Ejże! nie widziała pani dotąd łasicy? Widocznie nie trzymają tego po klasztorach. Zobaczy ją pani niebawem. Malutkie, zgrabne zwierzątko, maści brązowej, z oczkami czerwonemi.. Bardzo ładne zwierzątko, ale wolę stokroć ładne dziewczęta.

Do tej deklaracji dołączył mrugnienie okiem i uśmiech wielce znaczący.

— Polowałeś pan kiedy w Ameryce? — Jetta znowu mu szyki popsuła..

— Czasem... Ale mama mnie tam wyprawiła na wcale inne polowanie... Cóż kiedy nie miałem szczęścia .. nic mi się jakoś pod rękę nie nawinęło .. Prawdę mówiąc, Amerykanki nie były w moim guście, przysięgam pani, bez komplementu, że nie widziałem tam ani jednej, która byłaby się bodaj umyła do ciebie! Czy to możebne, żebyś pani myślała o sukni zakonnej? Słowo honoru, była by to wieczna szkoda. Obcięła by pani włosy, a one takie miękkie, takie śliczne blond..

— Nie jestem blondynką — szepnęła, siląc się na uśmiech.

— Dla mnie bo istnieją li blondyny i brunetki. Przecież pani nie zechcesz utrzymywać, że masz włosy czarne. A potem co za oczy! Dalibóg cudne! płeć szczególniej! Co pani robi, żeby mieć taką płeć?

— Zaręczam panu, iż nic nie robię i nic o tem nie wiem — sucho odrzuciła.

Skoro puścił się i rozmachał, zdawało mu się, że najtrudniejsze już zrobione; teraz trzeba li płynąć dalej. Wyliczył więc z kolei wszystkie wdzięki Jetty, która wzrokiem niespokojnym badała gąszcz leśną; niestety, żaden wybawiciel nie nadchodził. Po licach przyszły usta, a po nich uszko, które naprawdę było prześliczne. Nie myślał zatrzymać się w pół drogi i z góry sobie ułożył, na finał paść na kolana prosząc o jej serce i rękę. Ponieważ wszystko naprzód obrachowywał, przerwał na chwilę rwący potok swojej wymowy, aby strzelbę złożyć na murawie, która w chwili stanowczej mogła by mu była zawadzić. Potem zaczął na nowo:

— Nie jestem wymowny, nie umiem układać frazesów poetycznych... Ale przysięgam pani, że od dnia pierwszego kiedym panią zobaczył... tak przysięgam, że...

Spostrzegł Larę na zakręcie ścieżki, Lara zaś nie należał do tych podwładnych, w obec których mógł by się czuć swobodnym. Wręcz przeciwnie, ten pazik z miną śmiałą, wyzywającą, imponował mu niemal i przy nim bał się nawet ust otworzyć. Może odczuwał instynktowo, że Lara wygląda na księcia przebranego, a Gaston de Moisieux, co najwyżej na masztalerza, który się rozminął ze swojem powołaniem. Oniemiał nagle, ku wielkiej radości panny Maulabret, która w duchu błogosławiła Wschód cały, a Grecję w szczególności.

Odłożywszy na później oświadczyny, zajął się teraz wyłącznie polowaniem. Sprawdziwszy dwa otwory równoległe nory króliczej, zastawił siatkę z jednej strony, łasicę zaś wpuścił drugim otworem i zapowiedział Jecie najuroczyściej, że za kilka minut zobaczy wychodzącego z nory tęgiego królika, a za nim w tropy pędzącą jego nieprzyjaciółkę, łasicę. — Już są! już ich słyszę! — wołał co chwila. Minął jednak cały kwadrans, a słychu nie było ni o króliku, ni o łasicy. Lara uszczęśliwiony niepowodzeniem, patrzał raz po raz na Jettę, uśmiechając się złośliwie. Gaston zniecierpliwiony, kazał mu wreszcie nagromadzić suchych liści i gałązek i podpalić. Sądził iż dym zmusi królika do rejterady. Stos płonął a łasica ani noska nie wyściubiła. Zapewne dobrze jej było w norze, albo znalazła sobie inne wyjście wygodniejsze. Wtedy zapominając o wszystkiem, o swoich zamiarach, o matki surowych poleceniach, o lesie i pomysłach genjalnych, któremi miał go tenże natchnąć, z okiem wlepionem w oba otwory zaczął tupać, kląć na czem świat stoi, pienić się ze złości, nie spostrzegłszy nawet, iż Jetta wymknęła się tymczasem wracając czemprędzej do zamku.

Gdy powrócił do domu, przed samem drugiem śniadaniem:

— I cóż — spytała matka — dobiłeś targu?

— Oh! przeklęta bestja! — wykrzyknął pięście zaciskając. — Schować się do jamy! Czy to kto słyszał? Ba! postaramy się o inną dla pana Cantarel.

O inną pupilkę?.. O kim ty pleciesz jeżeli wolno wiedzieć?

— Eh! do stu djabłów, o tej przeklętej łasicy! Niech że mama sobie wyobrazi...

— Z tobą bałwanie i anioł straciłby cierpliwość!.. Mów że mi o pannie Maulabret!

— A! o nią mamie idzie? — bąknął odzyskując przytomność — z tej strony pójdzie wszystko jak po maśle

— Oświadczyłeś się zatem?

— Prawie... byłem w sztosie nie lada! i byłbym wiele więcej nagadał, żeby djabeł nie był nadniósł tego Larę przeklętego najniepotrzebniej w świecie!.. Niecierpię tego chłopczyska; zuchwały, impertynent, przybiera tony, jakby się czuł panem tutaj!...

Margrabina lekko się zarumieniła, co jej się nie często wydarzało. Nie znosiła tego, żeby syn śmiał krytykować jej brak energji, w rządzeniu domem.

— Koniec końców — rzekła z przekąsem—dzięki nadejściu Lary, dzięki łasicy, panna Maulabret, jak przyszła tak poszła!

— Co też mama myśli!.. Nagadałem jej słodyczy co nie miara, w tonie najprzyzwoitszym, ma się rozumieć. Może się ją mama spytać!

— I twoje słodycze dobrze przyjęto?

— Ależ dobrze, doskonale!... Kiedy mówię mamie, że dziewczyna lgnie do mnie, jak mucha do miodu, i że mam ją po prostu w kieszeni!... Dałbym jednak, słowo honoru.. jedną z moich sfor przyszłych, żeby wiedzieć co się też stało z łasicą!

Zmierzyła go spojrzeniem najwyższej pogardy i szepnęła:

— Muszę ja sama rozpocząć od dziś kampanię; inaczej nie dójdziemy nigdy do końca!

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

XV.

Sir Reginald.

Czas wielki zapoznać bliżej naszych czytelników z sir Reginaldem Cornwallis.

Syn wice-króla, narzeczony miss Łucji, z podwójnego więc tytułu, przypadnie mu rola niepoślednia, w dalszym ciągu wypadków. Piękny to młodzian, lat dwudziestu pięciu, postawy wyniosłej, smukły, rysów nadzwyczaj regularnych, pełen dystynkcji wrodzonej, pełen uczuć rycerskich i delikatności. W twarzy jednak, w całem ułożeniu, nosi cechę charakterystyczną; jest sztywny, flegmatyczny, jak cała niemal arystokracja angielska. Nie jest chroń Boże, dumnym i zarozumiałym pyszałkiem; raczej można by go posądzić o nieśmiałość w pewnych razach. W jasnych źrenicach, maluje się dobroć i łagodność Wyraz jego fizjonomji jest dziwnie melancholijny Nie śmie być młodym; lęka się okazać zbyt czułym. Cierpi, o czem wkrótce się przekonamy, czując instynktowo, iż nie jest kochany. — Zaraz nazajutrz po uwięzieniu lorda Edwarda, nie omieszkał stawić się o zwykłej godzinie przed południem, w pałacu księżny Leinster, smętny i poważny jak zawsze.

Pałac był jedną z tych siedzib magnackich, które odźwierciedlają w swojem wnętrzu, typy i charaktery rodów wielkich i starożytnych.

Pierwotna budowa pałacu sięgała epoki Wilhelma Zdobywcy, a więc pierwszej połowy wieku XI. Fitz-Gerald'y, czyli synowie Geralda, pochodzą ze szczepu normandzkiego. Ale odkąd osiedlili się w Irlandji, zostali duszą i ciałem Irlandczykami, broniąc zawzięcie sprawy nowej ojczyzny, upominając się o jej prawa i przywileje. Ileż razy krew za Irlandję przelewali, bądź na polu bitwy, bądź też na rusztowaniu, pod kata toporem! Najstarszy z synów, w owej epoce, nosił tytuł: „Hrabiego Kildare."

Niegodnie oszukani przez Stuart'ów, w których powrocie pokładali nadzieję ostateczną, połączyli się szczerze i lojalnie z domem hanowerskim. Myśleli, iż zakwitnie z nim dla Irlandji era wolności i sprawiedliwości. Niestety, wszystko okazało się kłamstwem, ułudą! Mimo chęci najlepszych Wilhelma III, prześladowanie i walka zacięta, odżyły na piękne, pod panowaniem królowej Anny.

Hrabiowie na zamku Kildare, związali się słowem honoru Nie widziano ich też więcej na czele powstańców; za to w parlamencie, w przybocznej radzie królewskiej, wszędzie nieśli przed sobą tak wysoko sztandar patrjotyzmu i tak odważnie głosili wszem i wobec każdemu wyznanie wiary politycznej, że żaden Irlandczyk najzagorzalszy nie mógł ich posądzić o odstępstwo. Przeciwnie, tak w arystokracji jak i między ludem, mówiono o nich zawsze:

— Ci szczerze do nas należą!

Książę Leinster — wysoki ten tytuł przyznano ojcu Edwarda w dowód uznania jego wierności dla tronu — kazał zanieść się przed króla Grzegorza i błagał go ostatniem zaklęciem konającego:

— Sprawiedliwości! litości! dla nieszczęsnej Irlandji

Tę samą prośbę, powtórzył syn najstarszy uroczyście w przeddzień odjazdu do kolonij angielskich, gdzie zaufanie monarchy, przeznaczyło mu wielce zaszczytne stanowisko. Dla czego lord Edward nie umiał być równie uległym, równie cierpliwym? Wiemy, jaki był tego powód, z opowiadania Jakóba. Natura jego nie mogła zapomnieć, o wyrządzonej mu niesprawiedliwości, zniewadze! Księżna jednak, nie chciała tego uwzględnić. Ganiła też surowo postępowanie syna najmłodszego, choć był jej ulubieńcem — Może jednak właśnie dla tego tak go namiętnie kochała, iż tyle z jego powodu się nagryzła, tyle łez gorżkich wylała. Gdy wczorajszego wieczora, miss Łucja popłoch rzuciła w zamku Kildare, było to za wiedzą i z rozkazu matki. Księżna pewną była, iż zbieg nie odjedzie, żeby z nią się nie pożegnał. Spodziewała go się Czekała z otwartemi ramionami.

Nic wznioślejszego, nic bardziej na cześć zasługującego, nad postać wspaniałą tej matrony, o rysach twarzy surowych, które jednak łagodził wzrok smętny, niby łzą wieczną zamglony i uśmiech dobrotliwy na bladych ustach. Była niegdyś cudownie piękną, a i dziś, niby ostatni odblask słońca zachodzącego, coś z dawnego uroku w niej pozostało. Chusteczka czarna koronkowa i żałobne wdowie szaty, z któremi od lat wielu się nie rozłączała, podnosiły bladość matową płci i włosy jakby śniegiem przyprószone.

Pomiędzy synem a matką nic zrazu słychać nie było, prócz długiego, serdecznego uścisku. Wreszcie księżna pierwsza przemówiła:

— Niewdzięczny! Niedobry! zdaje ci się więc, iż jeszcze za mało cierpiałam!... za mało się napłakałam!..

— Przebacz matko najukochańsza! — ukląkł przed nią, jak przed świętą, tuląc głowę do jej kolan, jak to niegdyś czynił dziecięciem. — Przebacz ubóstwiona moja. Oh, najwyższą ofiarą, którą ponoszę dla dobra ojczyzny, to nie krew, nie mienie własne, to te twoje łzy święte! Pozwól mi je ucałować. Daj mi i te twoje włoski, zawcześnie siwizną okryte, niech je upieszczę, niech je ucałuję

— A któż przed czasem głowę mi ubielił? — przerwała mu tonem słodkiej wymówki. — Obiecywałeś mi, że zerwiesz raz na zawsze ze spiskującymi, z buntownikami. Jest inna polityka, dzięki której wymierzą nam wreszcie sprawiedliwość Tą drogą postępywał twój ojciec, po niej dąży także do celu twój brat Henryk.

— Matko najdroższa! — Edward odrzucił — pragnąłem aby skutek pomyślny uwieńczył ich zabiegi. Chciałem pójść w ich ślady. Bóg inaczej mną pokierował. Nie każdy równo stworzony i od natury uposażony!... Jam nie książę angielski, Leinster, ale starej daty, pan na zamku Kildar.

— Cicho! cicho! ty szaleńcze mój ukochany — matka usta mu dłonią przytykała, niby to z marsem na czole, a w głębi serca dumna z takiego bohatera, z takiego rycerza, „bez bojaźni i bez zarzutu." — Czas nagli — dalej mówiła. — Masz pieniądze?

— Nie!... Nie dość w każdym razie

— Bierz, bierz ile ci potrzeba.

Otworzyła szkatułkę hebanową, bogato i misternie w srebro okutą. Na spodzie było pełno złota.

— Przyjmuję nie dla siebie — znowu matki ręce do ust przycisnął — ale dla tych biedaków, skompromitowanych, li dla tego, że mi nadto zaufali.

— Dobrze! Doskonale! — matka pełnemi garściami sama mu gwineje nakładała do wszystkich kieszeni. - Zrób dla nich wszystko, co ci nakazuje głos sumienia. Byleś raz był wolny, byleś nie zaprzepaszczał twojej przyszłości. — Ach, oddałabym chętnie cały majątek, byle dziecię moje wykupić. Jedź! Spiesz się! Uciekaj! Chciałabym już wiedzieć, żeś we Francji, zupełnie bezpieczny.

Odchodził, gdy matka raz jeszcze ramiona ku niemu wyciągnęła; a przyciskając głowę jego do piersi z czułością niewymowną, powtórzyła wśród łkań bolesnych te same słowa, które lord Edward żegnając żonę wymówił:

— Edziu! dziecię moje, kto wie, kiedy się znowu zobaczymy!?..

— Gdyby to miało być pożegnanie na długo, może na zawsze...— rzekł wahająco, nie mniej od księżnej wzruszony — w takim razie, tobie matko polecam żonę i dziatki moje!

W ostatniem namiętnem uściśnieniu, wznosząc oczy w górę, jakby niebo brała na świadka, księżna przyrzekła uroczyście, wypełnić syna prośbę ostatnią.

Odszedł. W godzinę niespełna, miał być napadniętym, zranionym, aresztowanym w domu Reynolds'a. Działo to się na drugim miasta i wieść o tej nocnej wycieczce, nie dosięgła tak rychło, spokojnej i oddalonej od gwaru śródmieścia, siedziby księżnej Leinster.

A jednak matka usnąć nie mogła. Dziwne przeczucie dręczyło ją jak ciężka zmora. Najzaufańszy z licznej służby, został przez nią na zwiady wysłany, ku portowi. Tam myślała — jest najwyższe niebezpieczeństwo. Sługa powrócił, nie zauważywszy nic, coby mogło zaniepokoić. Bulwary nad morzem, miały zwykłą fizjonomję. Snuły się po nich cienie wśród mgły, lądujące lub na odwrót płynące z pakunkami, ku statkom, gotującym się do podróży. Lord Edward, ze swoimi przyjaciółmi, musiał zapewne odpłynąć na jednym z okrętów, które skorzystawszy z nocnego odpływu, puściły się na pełne morze. Mimo doniesienia uspakajającego, księżna usnęła dopiero nad ranem. Słońce wypłynęło już wysoko na strop niebieski, gdy oczy otworzyła. O tej samej godzinie, wróciły z Kildare Łucja i Kornelja.

I one o niczem nie wiedziały; były też przekonane, że zbiegi do brzegów francuzkich dobijają.

Jak straszliwe kataklizmy w naturze, tak i wielkie nieszczęścia zwykł zapowiadać cień złowrogi, który rzuca na ziemię niewielka zrazu chmura, zakrywająca przelotnie blask słoneczny, nim ryknie piorunami. Szmer głuchy dał się też słyszeć między służbą pałacową. Ich niepokój rósł z każdą chwilą. Pytani, odpowiadali wahająco, że dziwne wieści krążą po Dublinie o wypadkach nocy ubiegłej. Bąkają coś o zasadzce, o napadzie. Ma być wielu uwięzionych, rannych, nawet zabitych.

Co się stało z Edwardem?! Niepewność, trwoga śmiertelna, dręczyły piekielnie matkę jego i siostrę.

— Boże miłosierny! — matka załamywała ręce w rozpaczy — któż nam prawdę obwieści?

Usłyszała na progu komnaty, głos cichy, przyjazny, dobrze jej znany. Przybywał sir Reginald. Ten w kilku słowach wszystko opowiedział.

— Uspokójcie się panie! — błagał. — Rana lorda Edwarda, bolesna wprawdzie, nie grozi mu żadnem niebezpieczeństwem. Doktor Slovius Jumble, nasz operator najbieglejszy, jest właśnie współtowarzyszem uwięzionych. Wyjął kulę z ramienia i zapowiada, że rana wkrótce się zabliźni.

Księżna była wspaniałą w boleści macierzyńskiej Z rezygnacją męczennicy chrześciańskiej, pociągnęła córkę, a gdy obie padły na kolana:

— W Bogu! nadzieja uciśnionych! — szepnęła drżącym głosem.— Nie nasza, ale jego wola niech się stanie! — Po chwili wstała pytając: — Spodziewam się, iż matce pozwolą syna odwidzieć!

— Więźniowie mają być zupełnie odosobnieni — odpowiedział sir Reginald. — Przystęp do nich wzbroniony...

— Nawet matce! — księżna rzuciła się jak lwica zraniona. — Oh! biegnę do lorda Cornwalis'a i muszę..

— Zaklina on cię, księżno, przez moje usta — wpadł jej w słowo syn wice-króla — żebyś raczyła oszczędzić mu przykrej odmowy. Odmówić zaś byłby zmuszony, gdyż rozkaz dostał z góry najsurowszy! Radzibyśmy przynajmniej zapobiedz o ile to się da krwi rozlewowi. Spisek szeroko rozgałęziony, mający na celu powstanie całej Irlandji, groził rządowi obecnemu. Aby uniknąć straszliwych nieszczęść, zaburzeń, kraj niszczących, trzeba się strzedz wszelkiej nieostrożności, wszelkiej słabości...

Łucja szepnęła z gorzkim wyrzutem:

— Wczoraj jeszcze, inaczej sir myślałeś!

Słowa te stosowały się do ostrzeżenia wspaniałomyślnego, które jej przyniósł zrana narzeczony. Zrozumiał słów znaczenie i odparł z godnością:

— Wczoraj miss nie zdradzałem ani mojego monarchy, ani ojca mojego... Trzeba paniom wiedzieć, iż działałem nawet z jego przyzwoleniem... Życzył sobie, żeby powstanie było pozbawione głównych przewódców; wolał ich widzieć na wygnaniu, niż uwięzionych. Fatalność jednak ciążąca nad ich głowami, do tego nie dopuściła, lecz to w niczem nie zmieniło najlepszych chęci wice-króla... Pozwólcie nam zyskać na czasie. Dziś Fitz-Gerald i jego wspólnicy, znaleźli by tylko sędziów nieubłaganych. Za kilka miesięcy, gdy porządek wróci na nowo, gdy ucichną namiętności polityczne, można prędzej wyglądać ułaskawienia. W imieniu ojca mojego, jeszcze raz powtarzam: nie traćmy nadziei!... Jeżeli panie nie chcecie zaufać naszemu szczeremu przywiązaniu, może uwierzycie przynajmniej naszej uczciwości...

Pułkownik Cornwallis, mówił wolno, z zimnym spokojem. Pod tą jednak pokrywką lodowatą, czuło się wzruszenie głębokie, rycerską gotowość, choćby do najwyższych poświęceń. Księżna już nie wątpiła; była najzupełniej przekonaną.

— Któżby śmiał i mógł nie ufać honorowi Cornwallis'ów! — gorąco odrzuciła — przynosisz nam sir więcej niż nadzieję, wlewasz otuchę w serca zbolałe!... Dziękuję za to wice-królowi. Co do ciebie sir, znam twoje uczucia dla Łucji. Ona pewnie potrafi cię za wszystko sowicie wynagrodzić.

Twarz blada Anglika, szkarłatem spłonęła. Spojrzał w oczy narzeczonej, jakby czekał na potwierdzenie obietnicy. Łucja jednak myślała w tej chwili tylko o bracie rannym i uwięzionym.

— Biedny Edzio—szepnęła łzami zalana.— Któż mu zastąpi nasze starania? Kto na pociechę, będzie z nim mówił o żonie, o jego dzieciętach ukochanych?..

— Ja! — rzekł Reginald z niezwykłą u niego czułością. — Mam upoważnienie i mogę codzień więźnia odwidzać. Co dzień zatem, udzielę mu wiadomości o tych, którzy go najbliżej obchodzą, a nawzajem o nim paniom doniosę. Na niczem mu zbywać nie będzie. Proszę liczyć na mnie. Nie mam że prawa uważać go niemal za brata?

W słowach ostatnich, z któremi zwrócił się głównie do Łucji, było tyle ciepła, taka miłość szczera z nich wiała, iż serce młodego dziewczęcia, nagle roztajało. Zerwała się, a wyciągając obie rączki do narzeczonego:

— Reginaldzie! — zawołała.— Masz serce złote, najszlachetniejsze. Przebacz. Jestem istotnie brzydką, szkaradną niewdzięcznicą!—W oczach jasnych Reginalda błysnął promień szczęścia. Pochwycił namiętnie rączki Łucji i byłby ją może raz pierwszy w życiu do piersi przycisnął, gdyby nie był wszedł w tej chwili kamerdyner z listem do księżny na srebrnej tacy. — Zesztywniał natychmiast, opanował chwilowe uniesienie i pożegnał się z matką i córką, ze zwykłą flegmą arystokratyczną, podług reguł ścisłej etykiety. Odchodząc szepnął:

— Do jutra!...

Kornelja zjawiła się w tej chwili.

— Nie traćmy nadziei — rzuciła cichuteńko na ucho Łucji. — Jack wolny!

List, który księżna oczami przebiegała, pisał hrabia Gaillefontaine.

XVI.

Drugi przyjaciel.

Tankred prosił o pozwolenie, złożenia u stóp księżnej Leinster, swojego hołdu, przyczem oświadczał się z gotowością na jej rozkazy. Od dawna znała Tankreda, z syna opisów i opowiadań. Dowiedziała się również od Łucji, jaką rolę odegrał w zamku Kildare, przed ostatniemi wypadkami. Był to w dodatku szlachcic francuski, rojalista zapalony. Z góry więc mógł być pewnym najżywszej sympaiji ze strony księżny Leinster. Nie długo też czekał na odpowiedź. Dostał zaproszenie na wieczór, jeszcze tego dnia samego. Tankred nie omieszkał stawić się w godzinie wyznaczonej. Postawa wspaniała, mina dziarska, ułożenie wytworne, prawdziwie wielko pańskie, zjednały mu przyjęcie jeszcze serdeczniejsze.

— Panie hrabio! — przemówiła matka Edwarda — są tacy, którzy utrzymują, iż nieszczęście oddala przyjaciół. Ciebie zaś właśnie poznajemy w dniach smutku i niedoli! Dzięki ci za tę gotowość i chęć ulżenia w nieszczęściu. Uważam cię niemal za członka rodziny i proszę, chciej nawzajem hrabio, uważać się u mnie, jakby we własnym domu. Skłonił się z uszanowaniem, zapewniając o gorliwości w służeniu komukolwiek, który jest bliskim i drogim sercu lorda Edwarda. — Biorę cię hrabio za słowo — księżna mu przerwała. — Mam właśnie prosić cię o coś.

— Spełnić każdy twój rozkaz księżno. skłonił się powtórnie — będzie dla mnie nie tylko zaszczytem, ale szczęściem prawdziwem.

— Znasz hrabio lady Pamelę — zaczęła.— O ile pamiętam, byłeś nawet jednym ze świadków na ślubie Edwarda. Byłam zrazu przeciwną temu związkowi. Racz mnie hrabio uwolnić od przytoczenia bliższych powodów, które mnie do tego skłaniały. Dziś nic o tem nie wiem i wiedzieć nie chcę.

Te powody, Tankred mógł łatwo zrozumieć, rzuciwszy li okiem po komnacie poważnej, wielko-pańskiej, w której się znajdował. Niby w olśniewającem świetle błyskawicy, ujrzał całą historję awanturniczą Pameli. — Istny romans!

Rośnie ona zrazu pod nazwiskiem Nancy Syms. — W wieku lat pięciu, kupują dziecko za kontraktem *in optima forma*, za sumę ośmdziesięciu funtów szterlingów w Londynie, dla księcia Chartre, tego, który będzie się później nazywał Filipem *Egalite*.

Dzieci jego wychowywały się po angielsku, przyszła mu więc pańska fantazja, dać im do zabawki małą angielkę, niby lalkę żywą. List towarzyszący wysłaniu dziewczynki, jest nader oryginalnym autentykiem: — „Mam zaszczyt wysyłać dla waszej królewskiej Mości — pisze księcia korespondent — najpiękniejszego kucyka i najcudowniejszą dziewczynkę z całej Wielkiej Brytanji“. W rzeczy samej, dziecko było prześliczne. Wprawiała w zachwyt wszystkich zadomowionych niejako w *Palais-Royal*. Istne cacko.

— Córka naturalna magnata angielskiego — mówią jedni. Inni zaś szepcą na ucho, wersję więcej do prawdy zbliżoną: — To własna córka księcia Chartre, a owa historyjka zmyślona w tym celu, by złączyć w sposób przyzwoity, dziecko z matką. Pani Genlis bowiem, była ochmistrzynią książąt orleańskich. Co nie podpada wątpliwości, to fakt, iż Pamela, wychowywała się razem z książętami, pod okiem pani Genlis. Świadczy o tem obraz zachowany

do dzisiaj w muzeum wersaillskiem. Pamela (tak ją przechrzciła sama pani Genlis) figuruje w obrazie na pierwszym planie, jakby równa urodzeniem księżniczkom. Stoi sparta na arfie, w wieku lat piętnastu, zjawisko cudownie piękne!

Przenieśmy się w rok pański 1791. Pomiędzy ludźmi sławnymi, z owej epoki, wszyscy zachwycają się Pameli wdziękami, zdolnościami i dowcipem niezrównanym. Barriére nią się opiekuje. Petion, David, Kamil Desmoulins, za nią szaleją Cała Zyronda, leży u jej małych stopek. Zaledwie wyszła z lat dziecięcych, ma już własny salon, otacza ją rodzaj dworu, a najzagorzalsi i dzicy republikanie, mięknąna jej widok, sławiąc jej urok i cnotę. „Piękność Afrodyty! — powtarzają, w ulubionym wówczas języku mitologicznym — a rozum Minerwy!“

Zjawił się Fitz-Gerald a za nim w tropy miłość. Pobrali się wkrótce na wiosnę. Podpis księcia orleańskiego, figurował na ślubnej intercyzie.

Księżna Leinster, mimo tego wszystkiego, patrzyła okiem bardzo niechętnem na ślub syna i z musu tylko przyjęła synowę, której przeszłość zbyt romantyczna i po trochę przesiąkła ideami republikańskiemi, trwogą matronę poważną przejmowała. Dotąd trwał między dwiema damami stosunek czysto konwencjonalny i chociaż Łucja serdecznie bratowę pokochała, choć wszystko zresztą, na korzyść Pameli świadczyło, matka jednak mężowska zawsze ją nader zimno przyjmowała. Może nawet Pamelę głównie oskarżała, iż jej syna a swego męża zachęca do spisków tajemnych.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAPOLEON BONAPARTE

przez

H. Taine'a.

(Ciąg dalszy.)

Rzut oka Bonapartego nie bywa nigdy powierzchownym, nigdy ogólnikowym; w każdej z machin ludzkich, przez siebie stworzonych i poruszanych, rozróżnia od pierwszego wejrzenia wszystkie części składowe istoty moralnej, widzi najdrobniejszy szczegół kierunku umysłowego. Główny motor siły, narzędzia transmisyjne, koła i kółka, szybkość ruchu, rezultat obrotów, wszystko to w ścisłem obliczeniu przedstawia się odrazu jego oczom, które zdają się zaglądać do najciemniejszych zakątków, do najbardziej skrytych tajników maszyny, zwanej duszą ludzką, z przenikliwością i doświadczeniem wytrawnego specjalisty.

Ztąd wypływało upodobanie Napoleona do szczegółów, stanowiących według niego rzeczywistą istotę i podstawę każdej rzeczy. Ręka, która nie pochwyciła lub nie zdołała utrzymać tych nici tajemnych, łudzi się tylko władzą pozorną, dzierży czcze widmo, powłokę, ale nie przedmiot upragniony. Na punkcie też rysów drobiazgowych ciekawość jego i chciwość nienasycone były; w każdem ministerstwie zna je lepiej od samego ministra, w każdem biurze pomniejszem jest o nich powiadomiony narówni z kancelistami. Na stole jego widzimy wykazy stanu, w jakim znajdują się armje lądowe i morskie; sprawozdania te, zmieniane z początkiem każdego miesiąca, stanowią ulubione i jedyne jego czytanie. „Pamięć moja nieudolna na punkcie wierszy, ani jednego nie zatrzyma aleksandryna, w zamian jednak każda sylaba wykazów wojskowych głęboko wyrytą w niej zostaje. Dziś jeszcze muszę je odczytać, inaczej zasnąćbym nie zdołał.“

W obec takiej zasady, trudno się dziwić, iż ani zarząd ministerstwa marynarki i wojny, ani oficerowie sztabu generalnego, nie znali tak dobrze jak cesarz położenia armji morskiej i lądowej, liczby, wielkości i rodzaju okrętów rozstawionych w portach, nie byli tak powiadomieni o postępach w budowie pojedynczego statku, o składzie, zarządzie, uzbrojeniu i sile każdego poszczególnego pułku lub batalionu. To samo powtarzało się w sprawach skarbowych lub dyplomatycznych, we wszystkich oddziałach administracji świeckiej lub duchownej, w kwestjach zarówno fizycznej, jak moralnej natury. Wysoce rozwinięta pamięć topograficzna, oraz zdolność odtwarzania w wyobraźni miejsc raz widzianych, łączyły się z taką siłą kojarzenia wrażeń, iż pod naciskiem własnej woli Bonaparte mógł w każdej chwili wzbudzić w myśli swej obraz danej okolicy i opisać go z drobiazgowymi szczegółami. Równocześnie rachunki jego i obliczanie przestrzeni odznaczają się niezwykłą ścisłością. Zdarzało się kilkakrotnie, że wykazy Napoleona, robione na kilka miesięcy naprzód i w odległości paruset mil, sprawdziły się nietylko co do dnia, ale co do godziny nawet. Biorąc fakt powyższy w rachubę, należy zwrócić przedewszystkiem uwagę, iż nie polega on jedynie na umiejętnem działaniu z pewną kolumną cyfr, nie, — tu trzeba daru jasnowidzenia stokroć genialniejszego, chodzi bowiem o dokładne ocenienie charakteru przeciwnika, o przewidzenie zwrotów jego, pomysłów i całej działalności. Łącząc więc z obliczeniem prawdopodobieństw fizycznych subtelną ocenę możliwości i zmian w dziedzinie moralnej, uprzedzając zarówno błędy przeciwnika, jak jego mistrzowskie częstokroć pomysły, Bonaparte okazywał olbrzymią bystrość umysłu, dowodził, że genialny psycholog łączy się w nim z wytrawnym strategikiem. Nikt też, w rzeczy samej, nie przewyższył go w sztuce odgadywania stanu duszy ludzkiej, w pojęciu przyczyn przelotnych lub stałych, które już-to powstrzymują, już popychają człowieka do pewnych, z góry określonych czynów; nikt nie znał tak sprężyn, za pomocą których można było wywierać nacisk pożądany na pojedyńcze osobistości lub całe grupy narodu. Zdolność to o tyle wybitna, iż jednocząc wszystkie inne pod swym kierunkiem, umiała w sztuce rządzenia ludźmi wytworzyć zeń geniusz niedościgniony.

Dla działacza politycznego bystrość równie potężna nieocenioną się staje, pozwala mu bowiem grać na namiętnościach ludzkich, obracając je w siłę, którą rządzi dowolnie. W jaki jednak sposób odgadnąć uczucia, stanowiące skarb tajemny każdego serca, poufną cząsteczkę wewnętrznej jego istoty? Jakim cudem ująć je w karby i opierać rachubę na rzeczy niepochwytnej, która z wszelkich ograniczeń drwić się zdaje? Intuicja, przypuszczenia, stanowią tu jedyną możliwą drogę wyjścia a jednak w dziedzinie tej ciemnej i tajemniczej, gdzie inni omackiem tylko stąpaćby próbowali, Napoleon działa z niezachwianą pewnością, z mistrzowstwem, długą zdradzającem wprawę. I rzeczywiście nie jest mu ona obcą; aby bowiem zejść do głębin duszy ludzkiej, doświadczenie rozpoczął od siebie i wpierw swoją własną zbadać usiłował.

„Ścisłe zrozumienie faktów jest dla mnie rzeczą konieczną“ przytacza słowa jego pani de Rémusat, — „to też gdybym się kiedykolwiek zakochał prawdziwie, miłość moją rozczłonkowałbym na strzępy, aby przyczynę i naturę jej pojąć dokładnie. *Dlaczego* i *w jaki sposób*, są to pytania tak użyteczne, iż powinniśmy ich jaknajczęściej używać.

W rzeczy samej — pisze jeden ze współczesnych, — dla nikogo może przyczyny, rządzące czynami ludzkiemi, nie mia-

ły tyle uroku, nikt ich tak jak Bonaparte nie badał sumiennie. Teorja jego, poczerpnięta z nauk doświadczalnych, opiera się na sprawdzaniu każdej hypotezy przez dokładne jej zastosowanie w warunkach ściśle określonych. Jeżeli siła fizyczna może być skonstatowana za pomocą zboczenia igiełki, podniesienia się lub zabarwienia płynu, to dana siła moralna, jakkolwiek niewidoczna, powinna być również sprawdzona, w przybliżeniu przynajmniej, przez próbę stanowczą, musi się zdradzić choćby słowem pojedynczem, ruchem, akcentem wreszcie. Otóż — słowa te, ruchy, akcent nawet, zebrane starannie, stanowią dla niego wskazówkę uczuć najgłębszych, niczem na pozór nie okazywanych na zewnątrz. Rysy powierzchowne służą mu do utworzenia obrazu duszy, wyraziste zaś oblicze, poza wymowna, drobna jakaś scena, pomagają nie raz do wyprowadzenia szeregu wniosków, określających nietylko daną osobistość, ale i cały szereg istot jej podobnych.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 9. Marca 1888 r.

Niedawno temu „Kraj“ petersburgski, bezsprzecznie najlepiej redagowane pismo polskie, umieścił list swego galicyjskiego korespondenta, w którym tenże niemiłosiernie wychłostał panującą dziś w Galicji jubilomanię. Prawie codzień słyszymy, że komuś urządzają jubileusz, a dziennikarstwo miasto ludzi reflektować, jeszcze ich zachęca do tych uroczystości, gdyż *per longum et latum* drukuje najczęściej urojone zasługi jubilata, przytacza *per nomen et cognomen* tych, którzy w jubileuszu brali udział, nakoniec powtarza mówki, toasty i telegramy. Każdy człowiek cywilizowany widząc to, ma prawo zapytać, czy w Galicji jest tak dużo znakomitości, że w ciągu roku aż tyle jubileuszów tu się odprawia? Niestety my ludzi prawdziwie znakomitych moglibyśmy policzyć na palcach jednej ręki, a i tym jubileuszów nie urządzamy — za to mamy cały tłum miernostek, które nadymają się jak owa żaba z bajki i te koniecznie chcą urość do rozmiarów bezgranicznych. Niedawno temu, czytałem (*nomina sunt odiosa*), że w pewnym powiecie, panu prezesowi rady powiatowej urządzono wielką owację w dniu jego imieniu. Przy odgłosie muzyki, wśród salw moździerzowych, przyniosła mu deputacja powiatu wspaniały „korowaj“, a potem były mówki, łzy i ognie sztuczne. A za co to wszystko? Za jego wielkie przymioty i zasługi. A jakie one były? O tem milczy korespondencja. Rozumiemy każdą uroczystość prywatną, bo przecie ludzie obdarzeni czy to dobrem sercem, czy cnotami towarzyskiemi, mają prawo żądać, by ich przyjaciele i sądziedzi kochali, wszelako jeźli owacje takie wybiegają po za sferę sąsiedzką i jeżeli o nich pisze się w dziennikach, niech że wtedy pan korespondent poszczególni owe wiekopomne zasługi, by cały kraj wiedział, jak prezesi rad powiatowych działać powinni. Ilekroć zaś korespondent tego nie uczyni, redaktor nie powinien jego listu umieścić, ponieważ w dziennikach przeznaczonych dla szerokiej publiczności, nie należy robić reklamy osobom prywatnym i świeżo upieczonym znakomitościom. Co zostawimy dla obywateli prawdziwie zasłużonych, jeźli pierwsza lepsza „powaga powiatowa“ będzie żądała, by ją cały kraj znał i wielbił!

Czy jest co bardziej zajmującego nad pamiętnik wielkiego człowieka? Ludzi znakomitych znamy tylko z ich czynów, życie zaś ich prywatne, jak najczęściej dla szerszej publiczności osłonięte tajemnicą, bo rzadko jaki genjusz życzy sobie tego, by go takim znano, jakim jest w rzeczywistości. Pozować lubi mniej więcej każdy a ludzie wybitni niejednokrotnie bardziej tej słabostce hołdują niż zwykli śmiertelnicy. Dopiero w pamiętniku człowiek przedstawia się takim, jakim jest w rzeczywistości, i dla tego to pamiętniki budzą nieraz większą ciekawość niż romans najbardziej sensacyjny. Gdy niedawno temu w odcinku *Kurjera Warszawskiego* znaleźliśmy pamiętnik J. I. Kraszewskiego z r. 1851, rzuciliśmy się na niego z gorączkową skwapliwością, a ponieważ znalazł się w nim jeden ustęp, mogący zainteresować każdego mieszkańca Galicji, przeto go na tem miejscu powtarzamy. Kraszewski pisze między innemi w sobotę dnia 28. Kwietnia 1851 r. „Opowiadano mi przygody wesela najbogatszej w kraju naszym dziedziczki, księżniczki Marji Sanguszkównej, córki Romana, za p. Alfreda Potockiego, syna Alfreda.

Narzeczony, istny niemiec, z nawiskiem polskiem tylko, nikomu się nie podobał. Bo, jak mówił hr ...cki, jak może się polak zniemczały komu podobać. (Może najlepszy człowiek, ale do środka zajrzeć nie każdemu dano, a co po wierzchu, to widzi każdy).

Pomimo wstrętu ojca do ślubu w poście, nie zważając na jego żądania, postanowiono obrzęd odbyć dnia 7. na św. Józef.

Raz w życiu ostatni ojcu nie dogodzić, dowodziło zimnego serca, jeśli nie czego więcej. Nikogo nie proszono. Sproszono gromadę wioski, oficjalistów obdarzono, ale to wszystko dosyć.

Ołtarz, do ślubu pięknie ubrany w kwiaty, był w sali okrągłej na górze. Biskup przysłał z indultem oficjała. Dla dostojnej pary niedość było jednego księdza, było ich jedenastu podobno.

Przeciwko prastaremu u nas zwyczajowi, nie znaleziono godnych prowadzić młodej pary do ołtarza i sam Alfred, ojciec, wiódł księżniczkę, paradnie strojną w djamenty i koronki kosztowne (choć ich ocenić nie było komu) do ołtarza, zaś pani Alfredowa syna.

Na górze jeszcze raz prosiła córka o błogosławieństwo ojca, padłszy mu do nóg. Ojciec się rzewnie rozpłakał.

W czasie mszy św. jeden wieniec z kwiatów na ołtarzu rozerwał się i jedna świeca zgasła, co było złą wróżbą.

Przy obiedzie, który zaraz nastąpił, opowiadała pani Alfredowa o tem księdzu kanonikowi, Dolińskiemu, z uwagą, że ją to przestrasza, bo podobny prognostyk odznaczył ślub ks. Doroty. Ale ksiądz kanonik słusznie odpowiedział, że o to nie los obwiniać należy, ale fabrykanta świec, że złe światło do kaplicy daje.

Księdzu oficjałowi dał Potocki 100 rs.! a po sto rubli na trzy kościoły, co dowodzi jak jest rządny i oszczędny. Książę Roman jednym oficjalistom w Zasławiu rozdał 3.000 rs. i co było trunków i jadła, spoił i rozbawił lud, który uczcie towarzyszył. Po obiedzie zaraz młodzi państwo po angielsku wyjechali ze Sławuty do Zasławia, a na tych trzech milach jeszcze raz konie przeprzęgli“.

p.

PORADNIK DOMOWY.

Smarowidło na skóry.

Osoby, zmuszone często chodzić po błotach, skarżą się niejednokrotnie na częste pękanie obuwia. Nie jest to winą skóry, bo nawet najlepsze gatunki nie mogą się ostać takim warunkom, jedyną radą w tym razie jest częste smarowanie butów. Smarowidło na buty powinno odpowiadać dwom warunkom: 1) posiadać tłuszcz, któryby niedopuszczał wody do skóry i pokrywał jakby lakiem jej powierzchnię; 2) nie powinno psuć skóry. Powyższym warunkom odpowiada poniższy przepis, dający się zastosować do smarowania nietylko butów, ale innych przedmiotów skórzanych: fartuchów u powozów, rzemieni, pasów i t. p. Pół funta oleju lnianego dolewamy do stopionego pół funta sadła, do powyższych substancyj dodajemy 3 łuty stopionego wosku i 2 łuty również stopionej żywicy. Zmięszawszy na gorąco powyższe substancje, po zdjęciu ich z ognia, dolewamy 3 łuty terpentyny. Do powyższych substancyj dla nadania barwy dodajemy trochę palonej kości (najlepiej słoniowej). Tym sposobem otrzymujemy smarowidło, które należy dobrze zapakować w słój szklanny. Przy użyciu wcieramy je mocno w skórę.

Usuwanie węgrów z twarzy.

Dawno już przebrzmiały w nauce twierdzenia, jakoby tak zwane węgry na twarzy, miały za przyczynę znajdowanie się w skórze do bnych robaczków i dziś nikt już nie wątpi, że między węgrami u pewnych stworzonek, jak utrzymują niektórzy, słusznie tak zwanych za swoje niechlujstwo, a węgrami na twarzy u ludzi, żaden inny związek nie zachodzi, prócz nazwy. Skóra nasza zawiera w sobie mnóstwo tak zwanych gruczołków łojowych, które bezustannie wydzielają na powierzchnię skóry tłuszcz, zwany łojem skórnym. Otóż często się zdarza, że przewód i otwór gruczołków ulegnie zatkaniu. Tworzy się zatyczka, która wskutek przymieszki pyłu przybiera barwę czarną. Samo się też przez się rozumie, że powstanie wielkiej ilości tych zatyczek tworzy na twarzy wcale nieestetyczną mozajkę, której usunięcia słusznie domagają się dbali o czystość skóry. W celu usunięcia tych niemiłych i niepożądanych upiększeń, radzimy spróbować następującego środka: Półćwierci funta mydła lekarskiego (*supo calinus*), oraz pół funta mydła glicerynowego rozpuszczamy w szklance dobrego spirytusu i dodajemy dla zapachu olejku różanego, bergamotowego, lub jakiegobądź innego. Otrzymujemy płyn, który na parę godzin przed udaniem się na spoczynek wcieramy niezbyt silnie w skórę. Po wtarciu twarz wycieramy do sucha i posypujemy ją pudrem ryżowym. Na drugi dzień rano zmywamy ją letnią wodą z mydłem. Zwykle już po kilku dniach węgry znikają, gdyż zatyczki rozpuszczają się w mydle.

Zadanie konikowe.

(Profesora Z. Morawskiego z Tarnowa.)

l	e		p	d		ż	t
z	u	e	t	i	o	ż	i
	e	i	ł	o	ą	k	
g	d	w	w	a	p	c	y
i	s	i	ę	w	m	r	m
	ó	ę	ć	c	ó	c	
z	e	b	z	z	a	i	n
w	d		t	e		w	z

Łamigłówka.

(Ułożył p. A. Godel ze Lwowa)

Ze zgłosek: bert, cen, c i, dyk, e, e, go, gu, i, in, ja, ja, ka, ki, ki, le, let, liń, lo, maj, men, niów, niż, o, ów, ran, re, ri, ski, skub, sło, tan, tarz, to, ty, u, wa, — ułożyć 13 słów:

1) Sławny szewc. 2) Małpa. 3) Opera. 4) Miejscowość w Galicji. 5) Abecadlnik. 6) Rzeka w Francji 7) Miasteczko w Rumelji. 8) Imię męskie. 9) Poeta niemiecki. 10) Wyspa. 11) Poeta polski 12) Miasto w Rosji. 13) Ptak.

Litery początkowe czytane z góry na dół dają nam imię i nazwisko poety polskiego, a końcowe z dołu do góry utwór tegoż.

Łamigłówka.

(Ułożył p. W. Jekiel z Jarosławia).

			a	a	a	a	b			
	b	c	c	c	d	e	e	e	e	
		e	e	e	e	e	e	g		
		i	i	i	i	i	i	i		
		k	k	k	k	l	ł	m		
		m	m	n	n	n	o	o		
		o	o	o	o	ó	r	r		
		r	r	r	r	s	s	s		
s	ś	t	t	u	u	u	w	w	w	w
			z	z	z	z	z			

1) Z peloponeskiej wojny ten jest znany. 2) Przez tego Moskal dobrze był strzepany. 3) Ryby co dawno weszły już w przysłowie. 4) Plac bardzo wielki w grodzie naszym Lwowie. 5) Gatunek ziemi w jeziorach i rzece 6) Jezioro wielkie we wschodniej Afryce. 7) Moskal wsławiony czyny okrutnemi. 8) Rzeka ta płynie w afrykańskiej ziemi. 9) Miasto polskie, w niem dawniej kwitły i nauki 10) Rozmaitej wartości, ale przedmiot sztuki.

Litery początkowe czytane po prawej i po lewej stronie dadzą nazwiska dwóch mężów, którzy walczyli w obronie ojczyzny.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy nowelle **Dygasińskiego: „Na pańskim dworze“.**

Rozwiązanie kwadratu magicznego.

1) Wasal. — 2) Adela. — 3) Sewer — 4) Alexy. — 5) Laryk.

Rozwiązanie zadania arytmetycznego.

188	210	207	203	192	—1000
211	194	201	196	198	—1000
191	195	200	205	209	—1000
202	204	199	2 6	189	—1000
208	197	193	190	212	—1000
1000	1000	1000	1000	1000	

Trafne rozwiązanie kwadratu magicznego i zadania arytmetycznego, nadesłali: WPni M. Bernacka z Krakowa; WP. Karol Gostwicki z Tokarni; WP. Zygmunt Smolka z Sambora.

Kwadratu magicznego: WP. Stanisław Wnorowski z Dynowa; WP. Aleksander Godel z Przemyśla; Wbny ks Karol Niemczynowski ze Lwowa; WPni Wanda Kopacz ze Stanisławowa; WP. Karol Bielawski z Przemyśla; WPni Olga Elterlein z Górki. Zadania arytmetycznego: WPni Emilja Wospiel z Lopatyna.

Nagrodę otrzymał WP. *Zygmunt Smolka.*

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca: Józef Rogosz Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.